Numer zawiera 4 strony
OPŁATA POCZT. UISZCZONA RYCZAŁTEM.

Cena n-ru 15 gr.
W CAŁYM KRAJU

X muza
tygodnik ilustrowany

ROK I — **WARSZAWA, DNIA 4 KWIETNIA 1937 R.** — **Nr. 6**

FILM ◦ TEATR ◦ MUZYKA ◦ TANIEC ◦ RADIO ◦ MALARSTWO ◦ FOTOGRAFIA ◦ SPORT ◦ TURYSTYKA ◦ MODA ◦ KOSMETYKA ◦ ROZRYWKI

KAZIMIERZ LECZYŃSKI

„TY, CO W OSTREJ ŚWIECISZ BRAMIE...“

FILM, KTÓRY TWORZY PRZEŁOM W NASZEJ KINEMATOGRAFII

Jesteśmy tak przyzwyczajeni do superlatywów w zapowiedziach filmów zarówno polskich, jak i zagranicznych, że z pewną rezerwą odnosimy się zwykle do każdego nowego obrazu, szczególnie, jeśli obraz ten został wyprodukowany w Polsce. A jednak od czasu do czasu spotykają nas radosne niespodzianki w postaci filmów, które każą nam wierzyć w imponujący rozwój filmu polskiego lat ostatnich. Wobec filmów takich, jak „Młody Las“ lub „Barbara Radziwiłłówna“, wszelkie najbardziej nawet szumne zapowiedzi okazują się blademi, gdyż filmy te budzą w nas radosną świadomość, że mogą stanąć w jednym szeregu z najpotężniejszymi filmami świata.

Filmów takich, filmów — arcydzieł, jest w naszej produkcji filmowej niewiele i dlatego każdy nowy liść wawrzynu w tym zwycięskim wieńcu pracy artystycznej należy ukazać i sygnalizować zawczasu jego pojawienie się. Tym razem chodzi o najnowszy film polski p. t. „Ty, co w Ostrej świecisz Bramie...“

Nie zaprzeczam, że z drżeniem serca szedłem na prywatny pokaz tego obrazu, który miał się odbyć dla niewielkiego grona zaproszonych gości, rekrutujących się ze sfer artystycznych i literackich. Ale niepokój ten znikał już w miarę tego, jak pierwsze sceny filmu przeniosły nas w najcudowniejszy plener, jaki sobie można wyobrazić, mianowicie na roziskrzone miljardem śnieżnych brylantów tło śnieżnych równin podwileńskich. Jeszcze żaden z naszych obrazów nie ukazał nam tak artystycznie sfotografowanych zdjęć plenerowych, i to zarówno zdjęć przyrody podwileńskiej, jak i samego Wilna. Można śmiało rzec, że dopiero film „Ty, co w Ostrej świecisz Bramie...“ obnażył przed nami czarowne serce Wilna. Piękno prastarych murów, dostojnej Bazyliki, wspaniałych kościołów — wszystko to wyrasta przed naszymi oczyma w imponującej wizji.



MARJA BOGDA i FELIKS SZCZEPAŃSKI
w jednej ze scen wielkiego filmu religijnego p. t. „Ty, co w Ostrej świecisz Bramie“
Fot. „Stefan Nasfeter“

Ale co jest największą zaletą filmu ostrobramskiego, to przedziwna głębia jego treści dramatycznej. Autor scenariusza w sposób prawdziwie mistrzowski ukazał religijny kult dla Najświętszej Marii Panny. Akcja zaś nie pozbawiona jest przytym najszlachetniej ujętej sensacji dramatycznej. Z niezwykłym napięciem śledzimy scenę za sceną dzieje bohaterów filmu, którzy na swej drodze życiowej spotykają się ze złem, i długo muszą z nim walczyć, zanim odnajdują swe szczęście u świętych stóp Matki Boskiej Ostrobramskiej. I gdy patrzymy w Jej promienne oblicze, mimowoli przypominamy sobie nieśmiertelne słowa wieszcza Adama Mickiewicza „w Panu Tadeuszu“:

„Panno Święta, co jasnej bronisz
Częstochowy
I w Ostrej świecisz Bramie...
Ty, co ogród zamkowy
Nowogródzki ochraniasz z jego
wiernym ludem...“

Tak, ten film przemówi do serca ludu, do najszerszych rzesz, — gdyż z serca powstał i sercem był tworzony.

Jest to film, który nikomu nie może być obojętny, gdyż wyzwala on najgłębiej ukryte tęsknoty i uczucia, które w każdym z nas drzemią: tęsknotę za pięknem, za dobrem i za wiarą.

Dlatego łzy wzruszenia płyną po twarzy widzów, którzy oglądali sceny z tego filmu.

Gdy odtwarzająca rolę matki po dowiedzeniu się o śmierci ubóstwianego syna (Cybulski) ofiaruje swój ból Matce Boskiej: „Dziej się wola Twoja“... lub gdy miłość bohaterki filmu (Bogda) wbrew strasznej rzeczywistości każe jej wierzyć, że ukochany jej żyje — dreszcz wzruszenia przeszywa nas do głębi. I dlatego wszyscy zgadzają się, że tak głębokich i silnych wzruszeń nie dał im dotąd jeszcze żaden film polskiej produkcji.

Jest to w pierwszym rzędzie niewątpliwą zasługą autorów pięknego scenariusza, ale nietylko ich.

Można śmiało rzec, iż żaden jeszcze film polski nie doprowadził aktorów do tego stopnia egzaltacji niemal, co właśnie ten obraz. Maria Bogda i Lena Żelichowska dwie rywalki, walcząc w tym obrazie o Mieczysława Cybulskiego, wywołują dreszcz swą przejmującą grą. A cóż dopiero mówić o największym tragiku naszej sceny Kaz. Junoszy-Stępowskim, lub o odtwarzającej roli matki — Tekli Trapszo.

Należy stwierdzić przy tem, iż wytwórnia Stefan Nasfeter nie szczędzi kosztów, aby film wypadł jak najwspanialej. Dość powiedzieć, iż m. in. została odtworzona w stolicy częściowo Ostra Brama, — w celu dopełnienia zdjęć, dokonanych już przed cudownym obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej.

Jeśli dodamy do tego mistrzowską reżyserję Nowiny-Przybylskiego i świetny podkład muzyczny prof. J. Maklakiewicza oraz W. Krupińskiego, ściśle dostosowany do głębokiej treści filmu wprowadzający od pierwszego momentu widza w stan wielkiego wzruszenia otrzymamy w sumie film wysoce wartościowy o nie przemijających wrażeniach. Film, który będziemy pamiętali tak długo, jak pamiętamy potężne eposy religijne w rodzaju „Króla Królów“ czy „Golgoty“.

Zerwanie z banałem dotychczasowych filmów i sięgnięcie do tematów, wiecznie absorbujących ludzkie umysły, to bezwątpienia duży, a nawet bardzo duży krok naprzód w dorobku artystycznym naszej produkcji. Nie wątpimy też, że publiczność polska należycie oceni ten krok i film spotka się z gorącym przyjęciem i aplauzem należnym bezprzecznie wielkiemu eposowi religijnemu.

ś. p. KAROL SZYMANOWSKI



W wieku 54 lat zmarł jeden z najwybitniejszych polskich kompozytorów ś. p. Karol Szymanowski, autor opery „Król Roger" i baletu „Harnasie" granego na scenie Opery Paryskiej. Sztuka polska poniosła niepowetowaną stratę.

GRAJ DZIŚ WIECZOREM...

W londyńskim Queens Theatre grana jest od kilku tygodni doskonała sztuka „Odwrót szału", w której prawdziwe triumfy święci znakomita artystka angielska Mary Tempest porównywana co do wielkości swojej sztuki aktorskiej z głośną Rejane. W sztuce tej mówi w pewnym miejscu aktor do Mary Tempest o umierającym jej mężu: „Śmierć nie zaprzątała nigdy jego myśli aż do chwili, gdy go zaskoczyła". Na to Mary Tempest odpowiada: „Nikt nie myśli nigdy o tym". W zeszłym tygodniu słowa te powtarzała Mary Tempest jak codziennie i nikt na widowni nie zauważył ukrywanego przez nią głębokiego cierpienia, a nawet łkań.

Bo w kilka godzin przed przedstawieniem Mary Tempest obecna była przy śmierci swego męża, głośnego aktora angielskiego Grahama Brown. Jeszcze przed kilku tygodniami ten sam dialog w sztuce prowadziła Mary Tempest z swoim mężem. Ale Brown wiedział o śmierci, która „zaprzątała jego myśl". Przed śmiercią bowiem rzekł do żony: „Graj dzisiaj wieczorem. Sztuka nie może być odwołana". I Mary Tempest poszła do teatru z rozpaczą w sercu i dotrzymała przyrzeczenia, będąc wierna wielkiej tradycji teatralnej, która każe aktorowi zapomnieć o wszystkich cierpieniach osobistych, nawet o śmierci bliskich dla dobra teatru.

Wśród polskich aktorów często podobne tragedie przeżywano.

Gdy na froncie zginął ś. p. Wojciech Siemaszko, jego matka znakomita tragiczka Wanda Siemaszkowa tegoż wieczoru grała w Bydgoszczy.

Nina Grudzińska grała wieczorem na scenie teatru „8.30" w operetce „Hotel Imperial" w dniu śmierci swego ojca.

I Juliusz Osterwa występował po zgonie ś. p. Wandy Osterwiny i Maria Malicka, której ojciec zmarł na rękach artystki, bezpośrednio musiała występować o 4-ej w „Cieniu" i wieczorem grać wesołą „Trafikę Pani Generałowej".

Przed 5-ciu dniami stracił ojca świetny aktor teatru Malickiej Zygmunt Biesiadecki i nie przerwał występów...

Jest to niestety los aktora.

JERZY TORUŃCZYK.

O MYSZCE, KTÓREJ NIE BOJĄ SIĘ KOBIETY!

Wśród powodzi jubileuszów, rocznic i obchodów przypadających na rok bieżący, wyłowiłem dziesięciolecie powstania małej myszki Mickey Mause.

Z tej intencji pragnę poświęcić kilka słów filmowi rysunkowemu i jego twórcom.

Kariera jaką zrobił Valt Disney jest iście amerykańska, ze sprzedawcy słodyczy, listonosza, komika naśladującego Chaplina — posiadacz wytwórni filmowej i małej myszki znanej na całym świecie. Jak zwykle w takim wypadku, o karierze tej zadecydował przypadek. Disney lubiał. rysować — ot miał zamiłowanie, to też gdy otrzymał posadę w wytwórni przezroczy reklamowych, pierwszą jego myślą było: ożywić martwe rysunki. I oto w roku 1927 powstaje mała napozór nic nie znacząca myszka — symbolizująca nową gałąź kinematografii: film rysunkowy.

Disney otrzymuje najfantastyczniejsze propozycje — przed hotel w którym mieszka, dotąd skromny rysownik, zajeżdżają limuzyny potentatów filmowych. Wytwórnie przelicytowują się wzajemnie oddając do jego dyspozycji swe atelliers, laboratoria i kapitały. I dzieje się rzecz niesłychana! Amerykanin, kwintesencja praktyczności odmawia, nie chce uzależnić się od producentów, pragnie doprowadzić swe dzieło do perfekcji w skromnym lecz własnym laboratorium. Po pierwszym, notabene przeciętnym filmie, posypały się nowe oferty, ofiarujące Disney'owi wielkie sumy za użycie myszki jako godła fabrycznego. Tych propozycji nie odrzuca — zakłada prawdziwe atellier — którego władcą jest maleńka aktorka „z disney'owskiej łaski" Mickey Mause.

Film dźwiękowy zadecydował o kompletnym zwycięstwie Disney'a. Wiedząc, że ludzie pragną czystego humoru spowodowanego nie djalogiem, lecz sytuacjami i mimiką aktorów — Mickey Mause nie włada żadnym językiem. Dźwięki jakie wydaje symbolizują humor dla wszystkich ludzi świata. Dodając wspaniałą muzykę jazzową, piosenki i szmery ruchów doprowadza Disney swój film do perfekcji. Zaczyna się triumfalny pochód myszki i Valta Disney'a. Aczkolwiek w licznych filmach widzimy innych bohaterów — to jednak żaden nie cieszy się taką popularnością.

Obecnie wiele wytwórni przystąpiło do realizowania rysunkowców, jednak nawet laik odróżni film Disney'a od innych. Z Disney'em konkurować może jeden tylko człowiek, Max Fleischer, twórca pięknego dziewczęcia, Betty Boop. Disney uważa się za bussinesmana, który zarabia znając inklinację ludzi do śmiechu. Film rysunkowy łączy w sobie elementy teatru, sztuki plastycznej, poezji i muzyki, które razem wzięte przeradzają się w efektowną całość, przekraczającą nieraz najśmielsze pomysły ludzkie. Dusza artysty może wyrazić się tu za pomocą mimiki i gestykulacji aktora, który w rzeczywistości nie istnieje, jest to jedna z największych zdobyczy w dziedzinie dokąd rzeczywistość ludzka sięgnąć nie może. Wytwórnie rysunkowców posiadają specjalne archiwa, gdzie nagromadzone są bajki Lafontaina, Andersena, Kryłowa, podania ludowe, legendy, motywy muzyki ludowej, tylko po to, by ożywić bohaterów wyobraźni człowieka i natchnąć ich do życia dając im pełną swobodę działania, dzięki nowoczesnej technice filmowej. Dziś nie wyobrażamy sobie dobrego programu kinowego w skład którego nie wchodziłby film rysunkowy — z niecierpliwością czekamy na ukazanie się czarodziejskiej bajki wytworzonej przez umysł człowieka — ożywiają się martwe rysunki rozśmieszają nas do łez — by za chwilę ściągnąć nas znów do szarej rzeczywistości.

ZBIGNIEW PITERA

LIST Z PROWINCJI

Słowo „prowincja" wiąże się nieodstępnie z pojęciem prowincjonalności lub prowincjonalizmu — a te nie świadczą zazwyczaj nigdy o czemś bardziej pochlebnym i godnym większej uwagi. Stąd też pochodzi pewne lekceważenie wszystkiego, co się na tej „zapadłej" prowincji dzieje a zwłaszcza jej nieraz pionierskich poczynań kulturalnych, zmierzających do podniesienia ogólnego poziomu bytowania. Przeciętny mieszkaniec stolicy, który jakimś zrządzeniem losu zawita na prowincję, patrzy zawsze „z góry' na każdego prowincjusza, bo: „panie, u nas w Warszawie... ho, ho!" — i biedny przedstawiciel prowincji musi (przynajmniej z grzeczności) otworzyć usta z podziwu i wybałuszyć oczy, kiwając przytem głową ze zrozumiałego podziwu.

Jak się przedstawia życie filmowe prowincji?

I czy naprawdę „niema o czym mówić"?

Oczywiście, jeśli chodzi o produkcję filmową, która dzięki urządzeniom technicznym ześrodkowana jest wyłącznie w stolicy, to pod tym względem jest całkiem głucho i jeszcze długi czas zupełnie głucho pozostanie. Gdy jednak sięgniemy pamięcią kilka lat wstecz do „minionej epoki" filmu niemego, znajdziemy na prowincji cały szereg usiłowań „ruszenia z miejsca", nawet bez tradycyjnego fiaska. Że próby te mogły liczyć na powodzenie tylko wówczas, przypisać to należy szczupłości wyposażenia technicznego każdego filmowca, któremu do rozpoczęcia „produkcji" wystarczał w zupełności aparat do zdjęć filmowych i kilkadziesiąt metrów taśmy; scenariusz pisał sam, zdięcia robił sam, a tematem był cały otaczający go świat. Dziś, gdy o filmie niemym nikt już nie chce słyszeć, same koszty udźwiękowienia czy synchronizacji mogą zupełnie zniechęcić do produkcji każdego prowincjonalnego zapaleńca-amatora.

Najbardziej „zasłużone" pod tym względem są **Lwów** i **Kraków**. Próby awangardowe **Jalu Kurka** i **Wacława Radulskiego** są dość poważnymi pozycjami w dziedzinie naszego filmu eksperymentalnego — stanowczo godnymi lepszej sprawy. W **Katowicach** produkował swoje filmy rysunkowe **Włodzimierz Kowańko** — które niestety nie doczekały się należytej eksploatacji i uznania, na jakie niewątpliwie zasługiwały.

Wogóle wszelkie poczynania filmowe prowincji musiały kończyć się przeważnie b. smutnie i w dużej mierze dlatego, że nie miały na sobie władczego stempla stolicy i większego poparcia jej szerokich kół filmowych. O to prowincja może mieć słuszny żal do monopolistycznie w tej materii nastawionej Warszawy.

Pod względem prasy filmowej prawie każde większe miasto przez jakiś czas posiadało, czy też posiada jeszcze, swoje własne czasopisma filmowe, które zazwyczaj „po krótkim lecz chwalebnym istnieniu" kończyły swój żywot wskutek braku czytelników lub większych zasobów materialnych.

Pozatem należy wziąć pod uwagę rozmaite kluby i stowarzyszenia filmowe, które z prawie samarytańskim poświeceniem starały się szerzyć kult filmu artystycznego i wychować choć szczupłą garstkę kulturalnych widzów kinowych. Ale i te wiodły suchotniczy żywot, który kończyły również niezbyt wesoło.

W nieco jaśniejszych barwach przedstawia się prowincja jako odbiorca i konsument filmowy. Tu o swoje prawa może się dopominać przedewszystkiem liczba około 700 kin, z którymi musi się już poważnie liczyć polski przemysł filmowy jako z właściwym rynkiem zbytu (bo naszego exportu filmowego nie można jeszcze brać poważnie).

Jednak charakter, jaki nosi dotąd w przeważnej części produkcja, spowodowany naginaniem się do gustów ogółu polskiej publiczności, nie da się w żaden sposób usprawiedliwić wymogami widzów prowincjonalnych. Mówi się zazwyczaj: **jaki odbiorca — taki towar** — i stosuje się to powiedzenie do obecnego poziomu filmu polskiego. Trzeba jednak zanaczyć, że to jest słuszne, ale tylko w pewnej części. Bo publiczność prowincjonalna jako właściwy odbiorca filmów krajowych ma jednak nieco wyższe wymagania, niż możnaby to sądzić po naszych obrazach. A jeżeli mimo to chętnie ogląda nasze filmy, to tylko dowód, że jest mniej zblazowana od stołecznej publiczki i przychylnie nastawiona do wysiłków polskich producentów. Pozatem kino — to dominująca rozrywka prowincji — zwłaszcza tej „zapadłej" — i jeżeli tam ogląda się wszystko z entuzjazmem, to z tej prostej przyczyny, że niema niczego lepszego na jakimś wyższym poziomie kulturalnym. Mam wrażenie, że do tego wniosku doszedł już i nasz przemysł filmowy i ostatnie jego pozycje (Barbara Radziwiłłówna, Płomienne serca, Piętro wyżej) mogą liczyć na pewny sukces, nietylko kasowy, ale również moralny.

Kto entuzjazmuje się naszym filmem na prowincji?

Oczywiście — jak zawsze i wszędzie: **młodzież.**

Przed kilku laty jeszcze skrępowana surowymi zakazami szkolnymi upomniała się wreszcie o swoje prawa i ma już obecnie prawie zupełnie wolny dostęp do tej bodaj jedynej rozrywki. Coraz rzadziej słyszymy o niefortunnych wyprawach wychowawców w celu wyłapywania młodocianych widzów na „niedozwolonych" filmach. Młodzi i postępowi wychowawcy zrozumieli już, że młodzieży nic nie zdoła odciągnąć od zajmującego filmu — a polityka zakazów wywiera zawsze wręcz przeciwne skutki.

Jak się przedstawia kwestia repertuaru kin prowincjonalnych?

Trzeba przyznać, że nadspodziewanie pomyślnie. Od kilku lat bowiem obserwujemy ciekawe zjawisko pojawiania się wielu filmów na ekranach prowincjonalnych dużo wcześniej przed Warszawą. Tego rodzaju prapremiery filmowe wzbudzają zaufanie publiczności do stołecznych biur wynajmu, które oszczędzają prowincji przykrego uczucia niższości wobec stolicy wskutek oglądania tego, co stare, ograne, nieaktualne.

Jedną z bolączek kin prowincjonalnych są stare, zużyte aparatury — zwłaszcza dźwiękowe, które w mniejszych kinach, nie mogących sobie pozwalać na częste remonty są prawdziwym utrapieniem publiczności. Cały efekt np. filmów Kiepury czy innych śpiewaków idzie przez to na marne. Mamy jednak nadzieję, że przy dobrej woli i to się da jakoś naprawić.

Kończąc mój list muszę jeszcze raz podkreślić, że rola prowincji, jako właściwego konsumenta filmów krajowych jest b. duża i musi się z nią liczyć nasz przemysł filmowy.

Bo w wielu sprawach — **prowincja zadecyduje.**

z CAŁEGO ŚWIATA

× Z powodu wojny domowej w Hiszpanii wstrzymana została zupełnie krajowa produkcja filmowa. Czynne są jedynie dwa studia w Barcelonie — Orphea Films i Riva La Frilla.

× „Kiedy kobiety milczą" taki jest tytul nakręconego obecnie nowego filmu Ufy z Ruth Störmer, Fredrichem Krahmerem i Johannes Heestersem w rolach głównych.

Wyświetlany jest już wielki film historyczny p. t. „Fridericus" wytw. Tobis. W roli Fryderyka Wielkiego występuje Otto Gebühr.

× Ufa przygotowuje film p. t. „Piękna Galathea".

× W szeregu zapowiedzianych na rok bieżący filmów wytw. Paramount ujrzymy m. in. „Anioł" z Marleną Dietrich i Herbertem Marschall'em, „Madame Butterfly" z Gladys Swarthout. „Ósma żona Sinobrodego z Claudette Colbert i Fredem Mac Murray, w reżyserii Ernsta Lubicza.

× Akademia Filmowa dorocznym zwyczajem ogłosiła listę filmów, aktorów, reżyserów, autorów i t. p., mogących pretendować do wielkiej nagrody Akademii. Na pierwszej liście znajdujemy następujące firmy: „Anthony Adverse", „Dodowath"; „Król kobiet"; „Pan z milionami"; „San Francisco"; „Romeo i Julia"; „Pasteur"; „Penny"; „Libeled Ledy" i „Historia o dwóch miastach". Wśród wyróżnionych aktorów znajdują się: Gary Cooper, Walter Huston, Paul Muni, William Powell i Spencer Tracy, a wśród aktorek: Irena Dunne, Gladys George, Carole Lombard, Luiza Rainer i Norma Shearer. Na liście reżyserów figurują: William Wyler, Robert Z. Leonard, Frank Capra, Gregory La Cava i W. Van Dyke.

× Adolf Zukor odznaczony został orderem przez króla włoskiego Wiktora Emanuela III.

× Charles Boyer gra główną rolę w nowym filmie United Artists p. t. „Historia tworzy się nocą".

× W Hollywood zmarł w wieku 65 lat znany aktor angielski, Sir Guy Standing, jeden z niezapomnianych bohaterów „Bengali".

× M G. M. zamierza filmować powieść Ericka Kästnera „Trzej panowie na śniegu".

FELIKS SKIBIŃSKI.

O SNOBACH

Mamy rozmaite rodzaje snobów. Do kolekcji tej zaliczyć można najrozmaitsze typy, które z tych, czy innych względów krytykują ustawicznie filmy. Przyjrzyjmy się tej galerii:

A więc do najliczniejszej u nas grupy snobów należą ci, którzy wzgardliwie uśmiechają się, gdy mowa o filmie polskim. „Fi! Też mi film".

I pouczają: to trzeba było zupełnie inaczej przedstawić. Jak można było robić zdięcia w Wilanowie? Przecież to zupełnie niestosowne. Powinno się było na plain-nery pojechać do Kazimierza. A ten X, to w ogóle nie ma pojęcia o reżyserii Pan Z? Co pan mówi? To zupełny analfabeta. Czy widział pan ostatni film Lubitscha? Tak się robi film. U nas potrafią tylko knocić. Nie. Nie nabierze mnie pan. Ja na filmy polskie zupełnie nie chodzę. Szkoda czasu i pieniędzy. Człowiek się tylko irytuje. Nic więcej. Co? Pan W.? Być może. Jest dość utalentowany. Ale co on może zrobić w naszych warunkach? W naszych atelier, z naszymi aktorami...

To jest typ najczęściej spotykany. Widzi się go wszędzie: w salonach, na zebraniach. Zawsze zabiera głos, zawsze krytykuje zawsze, pogardliwie wyraża się o polskim filmie, zawsze przeciwstawia go filmom amerykańskim, niemieckim, czy francuskim.

Inny snob jest zawsze niezadowolony. Cóż to za gwiazda — ta X. Y.? Przecież to jest stare pudło. Jak można jej powierzać tak wielką i popisową rolę?

Albo: cóż to za głupi temat? Znacznie lepiej byłoby, żeby nie bohater zabił bohaterkę, lecz odwrotnie, żeby grała nie np. Pola Negri, lecz Marlena Dietrich, żeby...

I tych „żeby" bezsensownych, nieuzasadnionych, bezkrytycznie rzucanych przez „wybitnego znawcę" jest całe mnóstwo.

Znam takiego snoba, który nie opuści żadnego seansu, gdy wyświetla się film o charakterze detektywistycznym, ale w czambuł potępiającego obrazy tego rodzaju.

„Cóż to ma wspólnego ze Sztuką? (koniecznie przez duże S!!). Filmy takie pobudzają najniższe instynkty i powinny być zabronione nie tylko dla młodzieży, ale w ogóle dla wszytkich".

Snob ten nie rozumie, że w filmach detektywistycznych mogą być tak samo wartości artystyczne jak w każdym innym filmie, że przygody w nich przedstawiane, są pełne ruchu i niespodzianek, które właśnie w filmie znajdują właściwy wyraz i charakter. Snoba to nic nie interesuje. On chodzi do kina na te filmy, ale je potępia.

Istnieje również typ snoba — wytwornisia, który cichaczem czyta książki Mniszkówny i Zarzyckiej, ale unosi się tylko nad poezjami Wierzyńskiego i Lechonia, a zwłaszcza „awangardzistów". Do kina lubi chodzić na filmy sensacyjne, ale stara się, by nikt go nie widział. „Bo ja, proszę pana, nienawidzę głupiego filmu. A czy kina nasze wyświetlają inne filmy? Co innego zagranicą. W Anglii, proszę pana, przede wszystkim chodzi się na filmy awangardy. To są filmy — proszę pana. A u nas młodych i utalentowanych awangardzistów w ogóle nie dopuszcza się do głosu". Pamięta pan „Buty"? Alba „Aptekę"? To były filmy epokowe. Ale nikt takich wysiłków u nas nie docenia" — dodaje z goryczą i ze smutkiem pochyla głowę.

Każdy snob to megaloman. On wie wszystko najlepiej, on zna się na aparaturze, na reżyserii, na produkcji. Ma długi język, wytworny styl i dużo — jadu. Nie ma na niego sposobu. On gada i gada.

I przez to przynosi szkodę. Bo urabia opinię. (Wiad. Film. Nr. 5)



JUNOSZA-STĘPOWSKI i WŁODZIMIERZ ŁOZIŃSKI w dramatycznej scenie filmu „Znachor" reż. M. Waszyńskiego.

Z PŁYTY NA EKRAN

SŁUCHAMY SŁOWIKÓW...

Audycje płytowe w P. R. nadawane są zazwyczaj według niezmiennego szablonu. Wybiera się kilka lub kilkanaście płyt mniej czy więcej zbliżonych charakterem samych utworów lub rodzajem wykonania i puszcza się je pokolei przy sennym akompaniamencie. stereotypowych zapowiedzi speakera. Rzadko przyjdzie komuś na myśl, by poszczególne kawałki, nie pozostające często ze sobą w żadnym związku, sprządz w jedną dłuższą całość przez słowne uzupełnienie ich przewodnich myśli muzycznych, czy też choćby powiązanie osób samych wykonawców. Jak dotychczas, tylko Lwów zdobywał się na tego rodzaju „reportaże muzyczne", zręcznie komponowane przez **Celinę Nahlik.** W takich audycjach płyta przestaje być tylko martwym krążkiem ebonitu, odgrywającym w ciągu trzech minut swoją wyrytą treść — staje się żywym ogniwem większej, logicznej całości. Nie trzeba dodawać, jak wielkie znaczenie popularyzatorskie mają owe reportaże muzyczne, które przyciągając słuchacza swą barwną, urozmaiconą formą. kształcą go i uczą w sposób żywy, bezpośredni, pozbawiony zwykłego namaszczenia i obowiązkowej nudy. W takich audycjach, poświęconych największym, a mało znanym szerszemu ogółowi twórcom lub zupełnie zapomnianym wykonawcom, usłyszeliśmy głos jednej z najznakomitszych śpiewaczek, głos z zaświatów, bo żyjący tylko istnieniem płyty, głos sławnej ongi **Marceliny Sembrich-Kochańskiej.** Znowu płyta pozwoliła nam wskrzesić oddawna zamilkły i zapomniany śpiew, pozwolila przeżyć wiele głębokich wzruszeń. I choć stare, niedoskonałe nagranie ujęło wiele czaru i piękna temu wspaniałemu głosowi, słucha się go jednak zawsze z przyjemnością.

Wśród dziesiątków głosów kobiecych zwraca naszą uwagę nadzwyczajna koloratura **Amellity Galli Curci,** której śpiew znany nam dobrze z częstych audycyj stanowi prawdziwą ozdobę repertuaru płytowego. Ogromnie rozległa skala, nieomylne brzmienie w najwyższych partiach, piękna fletowa barwa, zdumiewająca technika — oto zasadnicze walory głosowe tej niepospolitej śpiewaczki. Musimy też być wdzięczni Polskiemu Radiu za dość częste nadawanie jej płyt, których zawsze słuchamay z rozkoszą.

Równie cennymi pozycjami repertuaru płytowego są głosy **Ewy Bandrowskiej-Turskiej i Ady Sari,** dwóch dobrze nam znanych polskich śpiewaczek. Najpiękniej brzmią w ich wykonaniu pieśni polskie Karłowicza, Noskowskiego i Moniuszki. Niestety — ostatnio zeszły niemal zupełnie z repertuaru koncertów płytowych...

W duetach operowych, wykonywanych wraz z Titi Schipą dała się nam poznać doskonała technicznie **Toti dal Monte.** Piękny, koloraturowy głos rozwija w pełni swą skalę dopiero w najwyższych rejestrach przy wykonywaniu fantastycznych wariacyj, zdumiewając ucho subtelnym wycieniowaniem stylu tej swojego rodzaju ekwilibrystyki głosowej. Tito Schipa, znany już z poprzedniego feljetonu, okazał się jej godnym partnerem, wiernie interpretując partie tenorowe.

Te cztery śpiewaczki dają się nam podziwiac jedynie słuchowo, gdyż w żadnym filmie dotychczas nie występowały i z pewnością już nie wystąpią. Ma to też swoją dużą zaletę, bo pozbawiło nas wielu przykrych rozczarowań, których doznaliśmy oglądając na ekranie np. Schmidta, Piccaavera czy Gigli'ego. Dysproporcja, jaka często istnieje między warunkami głosowymi a aparycją danego śpiewaka popsuła nam już nieraz wrażenie skończonego piękna, ucieleśnionego w samym głosie artysty. Cieszmy się więc, że telewizja jest jeszcze melodia przyszłości i nie każe nam oglądać szpetnych postaci mistrzów bellcanta.

LENA ŻELICHOWSKA



W PRZEPIĘKNYM EPOSIE RELIGIJNYM „TY, CO W OSTREJ ŚWIECISZ BRAMIE"

Fot. „Stefan-Nasfeter"

Zdarza się jednak, że nautra obdarzy kogoś nadzwyczaj hojnie i wtedy mamy do czynienia z wyjątkowym zjawiskiem, które może nas czarować zarówno cudownym śpiewem, jak i piękną aparycją. Takiem zjawiskiem jest niewątpliwie „słowik ekranu" w postaci ślicznej **Jeanette Mac Donald.** To wyjątkowe uosobienie wdzięku, czaru i nadzwyczajnych walorów śpiewaczych, znane nam jest doskonale tak z płyt, jak i z ekranu. A właściwie przede wszystkim z ekranu — Jeanette Mc Donald bowiem jest artystką par excellence filmową, czego dowód dała nam w całym szeregu doskonałych filmów. Pierwszym z nich a zarazem jednym z pierwszych dźwiękowców, które ukazały się na naszych ekranach, było pamiętne „Monte Carlo", doskonale wyreżyserowane przez Lubicza, w którym partnerem jej był amant angielski Jack Buchanan. Następnie widzimy Jeanette Mc Donald w „Narzeczonej z loterii", gdzie partneruje jej John Garrick. Film jest b. słaby i częściowo kolorowany. Potem przychodzą cztery filmy z **Chevalierem,** a mianowicie: „Parada miłości" reż. Lubicza, „Godzina z tobą", „Kochaj mnie dziś" reż. Momouliana i wreszcie „**Wesoła wdówka**" Lehara znów w reżyserii Lubicza. Trzeba przyznać, że Jeanette i Chevalier stworzyli najmilszą parę śpiewających amantów komediowych a piosenki w ich wykonaniu były zawsze „murowanymi" przebojami. Ostatni ich film był nadzwyczaj udaną próbą transpozycji klasycznej operetki na ekran — oboje święcili tu swój triumf narówni z wiecznie młodą muzyką Lehara i wytrawną reżyserią Lubicza. Kiedy ujrzymy ich znów razem na ekranie? Chyba nie prędko — albo może już nigdy — bo Chevalier rozczarowany Ameryką powrócił na łono rodzimego Paryża gdzie — trzeba przyznać — dają mu w przeciwieństwie do Hollywoodu role najbardziej odpowiadające jego genre'owi Pozatem piękna Jeanettee śpiewa z **Ramonem Novarro** w filmie „Kot i skrzypce" jednym z tych nielicznych filmów komediowych, które kończą się bez tradycyjnego happy-endu. Nie było zresztą happy-endu również w karierze Ramona Novarro — tym filmem pożegnał X-tą Muzę najpopularniejszy po Rudolfie Valentino amant niemego i dźwiękowego filmu — pożegnał, jak się okazało, na zawsze. Nasz słowik dostaje nowego partnera w osobie barytona Metropolitan House — **Nelsona Eddy.** Głos ma dobry — ale jak na amanta jest stanowczo za drewniany i bez żadnego wyrazu. Kręcą oboje dwa dobre filmy w reżyserii V. S. Dycka — „Kapryśną Mariettę" i „Rose Marie" z muzyką Frimla. Ostatnim filmem Jeanette Mc Donald jest „San Francisco" tegoż reżysera — gdzie partneruje jej Clark Gable. Jeanette śpiewa tu kilka pięknych arii ze znanych oper.

Musimy jednak opuścić tę piękną „gwiazdę" — bo oto czekająą swej kolei trzy śpiewaczki europejskie. Pierwszą z nich, którą narazie znamy tylko z b. licznych płyt jest Niemka **Erna Sack,** posiadająca ładny, ale nieco ostry, koloraturowy głos — nakręciła już jakiś film, który jednak do nas nie dotarł. Dalej wymieniamy Gittę Alpar, znaną z „Balu w Savoyu", „Juliki" i „Jednej z tysiąca" śpiewaczkę o wielbłądzim profilu i wogóle mocno podstarzałej urodzie, by przejść wreszcie do najpopularniejszej z nich — **Marty Eggerth - Kiepurowej.** O głosie tej sympatycznej osóbki pisać nie trzeba, bo brzmi on nam jeszcze w uszach od czasu ostatniego koncertu w Krakowie, a pozatem słyszymy go stale w coraz to liczniej wyświetlanych filmach. Oto ich mała wiązanka: „Niedokończona symfonia" z Hansem Jaray'em w reżyserii niezawodnego Willy Forsta — „Dla Ciebie śpiewam" z Kiepurą — „Audiencja w Ischlu" — „Księżniczka czardasza" — „Dziewczę z Budapesztu" (pamiętamy ładną piosenkę „Die ganze Welt dreht sich um die Liebe") — „Kwiat Hawai", b. słaby film — wreszcie ostatnie: „Skowronek" — „Pieśń jej matki" — „Pałac we Flandrii" — „Blond Carmen". Jak widzimy, p. Kiepurowa posiada w swym dorobku artystycznym spory zapas dobrych filmów, z których ostatni p. t. „Cyganeria" z muzyką Pucciniego, gdzie występuje wraz z mężem, ukaże się wkrótce na naszych ekranach. Najpiękniej brzmią w jej wykonaniu ludowe pieśni węgierskie i nastrojowe utwory Schuberta.

Powróćmy na chwilę do Hollywood, gdyż niecierpliwi się taam przemiła **Grace Moore,** która pięknem wykonaniem arii z „Madame Butterfly" Pucciniego podbiła nasze serca i uszy w filmie Schertzingera „Idziemy po szczęście", gdzie pozatem słyszeliśmy w jej wykonaniu ładną piosenkę „Cziribiri" oraz melodię tytułową. Następne jej filmy przyniosły nam jednak zawód. Ani „Będziesz zawsze moja" ani „Cissy" z muzyką Kreislera i w reżyserii wykończonego już zupełnie Sternberga — nie stały na wysokim poziomie muzycznym i artystycznym. Większe szczęście ma **Gladys Swarthout,** patrnerka Kiepury w jego amerykańskim filmie „Pieśń miłości". Po słabej „Senoricie w masce" z Johnem Boles'em „przyszła do głosu" w dobrym, bo ponoć jubileuszowym filmie „Szampański walc" z Fredem Mc Murray. Bardzo dobry głos ale nienadzwyczajne warunki zewnętrzne nie wróżą jej większego powodzenia w dziedzinie filmu — najrozsądniej też zrobi, gdy wróci na stare deski Metropolitanu House w New Yorku. To samo należałoby poradzić nowolansowanej śpiewaczce **Lily Pons,** którą na szczęście znamy tylko z jednego filmu pt. „Kobieta zawsze ma rację", co bynajmniej nie oznacza, że miała rację występując w tym filmie. Bo kobieta jednak też może być omylna.

W następnym feljetonie mamy nieco „spuścić z tonu" i mówić o basach i barytonach.

Spec.

„Pierwsza miłość Thei Bianchi"

Romans filmowy Leopolda Brodzińskiego (6)

VIII

W AUCIE

Wracali do Paryża autem Thei, gdy wstawał srebrnobłękitny świt. Thea sama prowadziła swoją ulubioną maszynę sportową. Był to najmilszy z trzech samochodów, które stanowiły — wedle dowcipnego określenia Nanetty — „stajnię" gwiazdy.

Wóz mknął, jak strzała. po rozkosznie gładkiej szosie. Na zegarku Toma była już trzecia nad ranem. Widziała Thea rękę boksera tuż obok swego kolana i ta bliskość drażniła ją niewymownie. Ale bokserska łapa była nieruchoma i nie zdradzała żadnych intencji, godnych skarcenia. Więc bliskość była przypadkowa i nie należało jej zauważać. Tak też zrobiła Thea.

Siedzieli obok siebie w milczeniu. Thea umiała opanować senność, zamykającą jej oczy. Tom nie robił sobie ceremonii i chwilami drzemał. Gdy tak kiwał się lekko z przysłoniętymi ciężarem powiek oczami, wargi wydymały się nieświadomie dziecięcym grymasem, który śmieszył Theę. Gdy tak raz po raz obserwowała drzemiącego boksera, wydało się jej, że przez zimne serce przepływa fala jakiegoś nieznanego ciepła. Poranny chłód przy 90-kilometrowej szybkości wozu przenikał i budził dreszcze. Thea zatrzymała wóz i lekkim, trochę pieściwym ruchem podniosła kołnierz marynarki boksera. Tom otworzył oczy, spojrzał trochę nieprzytomnie, a potym uśmiechnął się.

— Dziękuję, — powiedział po angielsku.

— Proszę mówić po francusku, jak kazał Mattei — skarciła go dobrotliwie. Otuliła się grubym, sportowym paltem i znów zawarczał motor.

Senność pierzchła.

Tom patrzał przed siebie i myślał, jak kapryśnie układa się życie i jak właściwie niezależnie od nas samych. Oto jedzie autem pięknej, bogatej i sławnej kobiety. Jedzie do Paryża. On, Tom Rean przed paru laty nędzarz. Czy starał się o to? Zabiegał o zmianę losu?...

Wszystko przyszło samo, nieoczekiwanie i to wtedy dopiero, gdy kończąc 27-y rok życia stracił już wiarę w to, że wyjdzie kiedyś z szarzyzny i powszedniości...

Tylko życie osobiste tkwiło nadal w tej szarzyźnie. Żadnych przeżyć, żadnych emocji, prócz ściśle profesjonalnych. Erotyzm? Jakieś bez znaczenia godziny, o których się nie pamięta. Raczej fizjologiczny mus zdrowego i silnego organizmu.

Miłość?...

Wiedział o niej z filmów. Bo czytywał mało, nasyciwszy się w latach chłopięcych literaturą awanturniczą. Ostatnio kontentował się codziennym odczytywaniem wiadomości sportowych w tej lub innej gazecie. Ale filmy, które — bez żadnej myśli o przyszłej karierze filmowej — pochłaniał poprostu, jak wszyscy amerykanie, mówiły mu o miłości. Że istnieje, że bywa przyczyną cierpień i celem życia... Że przez nią i dla niej umierają...

— Czy mógłbym żyć dla niej i umrzeć dla niej i przez nią?...

Dla niej... Sam nie wiedział, że ta ona, to nie oderwane pojęcie miłości, jako takiej, ale... to Thea.

Zdał sobie sprawę z tego dopiero po kilku miesiącach, gdy kaprys losu kazał postawić na kartę: żyć dla niej, czy dla niej (i przez nią) umrzeć...

—o—

Już byli w Paryżu. Stolica świata zaczynała swój pracowity dzień. Montmartre przez który musieli przejeżdżać, kończył swą równie pracowitą noc. Z bulwarów Montmartre'u przejechali wdół wąską ulicą Clichy poprzez plac św. Trójcy i śpiącą jeszcze ulicę midinetek, Chausse d'Antin, do Opery. Wielkie bulwary złociły się żółkniejącymi liśćmi w wschodzącym wrześniowym słońcu. Pola Elizejskie wyłaniały się lekko z przedziwnie różanej porannej mgły.

— Już hotel Claridge... — powiedziała Thea.

— Jaka pani dobra...

— Jestem bardzo dobra, jako szofer — roześmiała się.

— Ale ja pojadę aż do pani, a potem wrócę tu taksówką... — uparł się Tom.

— Zgoda.

Thea nie wiedziała, że ta „zgoda" jest pierwszym wielkim błędem jej życia.

IX.

„PRZEBUDZENIE".

Przez szafirowe, ciężkie story z puszystego pluszu przedarł się jakiś ostry, złocisty promień i musnął czoło śpiącego snem człowieka szczęśliwego.

To słońce budziło Toma z najpiękniejszego snu jego życia. Rozwarły się powieki, a oczy szukać zaczęły w mrokach obcej sypialni wyjaśnienia, czy to dalszy ciąg snu, czy też rzeczywistość.

Zapach perfum słodki i cierpki zarazem powiedział więcej, niż kontury przedmiotów, majaczących w mrokach pokoju.

Tom zerwał się i intuicyjnie znalazł źródło światła. Księżycowy blask niewidzialnej lampy rozjaśnił szafirowe wnętrze.

— Jestem sam — skonstatował Tom i przeraził się tej samotności. A potym zobaczył tuż obok, na nizkim taborecie, kopertę. Już wiedział, że w tej kopercie kryje się coś bolesnego.

X.

LIST THEI DO TOMA.

„Proszę nie starać się o spotkanie ze mną. Wyjdzie pan z domu swobodnie, dom jest pusty, służba wyjechała. Proszę zatrzasnąć drzwi mego domu i swojej pamięci.

Nie zobaczy mnie pan prędko, a zresztą zobaczy mnie pan w zupełnie nowych okolicznościach życia. Te okoliczności zlikwidują ewentualne nadzieje pana, o ile takie istnieją.

Próby odbędzie pan tylko z Matteim, spotkamy się dopiero w Hollywood. Dwoje obcych, dyskretnych ludzi.

List był bez podpisu!

Tom przeczytał go poraz drugi i trzeci, zrozumiał, zapamiętał każde słowo. Jedno tylko zostało na czas jakiś nieodgadnione: „nowe okoliczności życia". I w parę godzin potym, gdy studiował z Matteim swoją rolę, a raczej gdy starał się mówić po francusku słowa, z których każde przypominało mu Theę, nie odważył się na rzecz tak pozornie prostą i naturalną, jak pytanie, co się dzieje z jego partnerką.

— A wie pan — powiedział nagle reżyser, jakby odgadując myśli Toma — że Bianchi wyjechała do Londynu. Wezwała ją wytwórnia płyt gramofonowych dla wypełnienia kontraktu przed wyjazdem do Ameryki. Zresztą, jest gotowa w roli i nie będziemy poszkodowani jej nieobecnością.

(Dalszy ciąg nastąpi)

FILMY TYGODNIA



Nina Czerska, urocza wodewilistka teatru „8.15" zadebiutuje wkrótce na ekranie w filmie „Książątko".

TEATR

Balet Parnella stanowiący główną atrakcję w Wielkiej Rewii na Karowej zanalizuje na naszych łamach „spec" od choreografii. Chcemy tylko zaznaczyć, że Krukowski i Sempoliński mieli znacznie większe powodzenie niż panie, których walory nieoczekiwanie zawiodły w warunkach akustycznych teatru. Piosenki Miry Zimińskiej chybiły z dwuch przyczyn: primo subtelne niuanse świetnej satyryczki ginęły z winy specyficznych warunków wciąż jeszcze nieakustycznej sali, secundo najlepsze numery naszej diseuse obębniły po kinowych rewiach mniej lub więcej godne p. Miry naśladowczynie. Rzecz prosta, nie mogę porównać p. Wery Gran z Zimińską, ale ta nastrojowa pieśniarka ma swoje niewątpliwe walory, umie w swym macierzystym Paradisie skoncentrować uwagę widzów i wprowadzić ich w nastrój. W Wielkiej Rewii specyficzny urok Wery Gran zaprzepaścił się, nie doszedł do widzów. Scena ma swoje specjalne prawa i bezlitosna jest dla tych, którzy wchodzą na nią nieprzygotowani.

Wł. Łohaza

WIELKA PREMIERA W TEATRZE LWOWSKIM.

Teatr lwowski wystawił ostatnio arcydzieło Calderona p. t. „Życie snem", które ukazało się w nowym przekładzie Edwarda Boye'go. Dramat, wystawiony w dekoracjach A. Pronaszki, reżyserował utalentowany autor komedii „Teoria Einsteina" Cwojdziński, w roli głównej wystąpił Krasnowiecki.

WETERANKA TEATRU FRANCUSKIEGO CIĘŻKO CHORA

Znana i u nas z występów w „Damie Kameliowej", „Mizantropie" i „Awanturnicy" sławna tragiczka francuska sędziwa Cecile Sorel, najsławniejsza dziś aktorka dramatyczna świata zapadła na ciężki atak sklerotyczny i leży w jednej z lecznic paryskich.

„TEODORA ROBI KARIERĘ" (kino „Coloseum")

Dość niebanalny film na temat „kto pod kim dołki kopie" o szeregu interesujących i nie szablonowych pomysłach reżyserskich. Jest, coprawda, miejscami trochę aż nazbyt dziwaczny. Jego rubaszny humor, tak bardzo w stylu amerykańskim, może niezawsze znajdzie u nas należyte zrozumienie i ocenę. Na ogół wszakże film ten oglada się z przyjemnością zarówno ze względu na oryginalność fabuły, jak na doskonałą grę całego zespołu aktorskiego, a nadewszystko — na wspaniałą reżyserię. Znać w tym rękę nieżyjącego już Ryszarda Bolesławskiego, którego „lwi pazur" tkwi w bardzo wielu poczynaniach i pomysłach. Szkoda, wielka szkoda, że to już ostatni jego film.

Irena Dunne, iście niespożyta, nieco zbyt stara w pierwszej części filmu, jest tym lepsza w drugiej. To trudno, ale role młodych niewinnych panienek są już po za zasięgiem jej możliwości. Natomiast, później, gdy udaje ekscentrycznego „vampa", jest dopiero prawdziwie dobra. Bardzo dobrze gra jej główny partner Melvyn Douglas, nieco dryblasowaty i kanciasty, ale bardzo odpowiedni do swej roli. Epizody — znakomicie obsadzone. Redaktor miejscowej gazety jest jednym z najpyszniejszych, jakich widzieliśmy na ekranie. Wszystkie „ciotki" i inne dewotki są świetnie odegrane. W sumie — film b. ciekawy.

„DYPLOMATYCZNA ŻONA". (kino „Apollo").

Ten pierwszy z filmów polskich, realizowanych w dwóch seriach, ma na sobie znamię producentów zagranicznych. Widać to z rozmachu niektórych scen zbiorowych.
Odtwórczyni roli tytułowej Jadwiga Kenda jest cenioną śpiewaczką koloraturową i ma w tym filmie duże pole do popisu walorami swego głosu. Natomiast w mowie jej głos brzmi nieco grubo, co, zresztą, jest raczej winą wielkopolskiego akcentu. Jak na debiutantkę aktorską spisała się bardzo dobrze. Dokoła niej krążą Leszczyński i Żabczyński, niemal nieustannie we frakach. Żelichowska gra świetnie, ale nie ma szczęścia do operatorów. Doskonałe są natomiast Ćwiklińska i Grossówna oraz wyśmienici Znicz i Kondrat. Film zawiera sporo tańca, na ogół dobrze ułożonego i wykonanego. Prym dzierży tu, oczywiście, Loda Halama, której taniec chłopski, smacznie pomyślany, zamaszyście wykonany i brawurowo zdjęty, wypadł bez zarzutu. Tak samo tańce zespołowe, zgrabnie podane przez Pianowskiego. Udał się również taniec, w rodzaju rumby, ułożony przez Lunię Nestor dla Ruszkowskiego i Grossówny. Reżyseria Krawicza ma sporo udanych momentów. Szwankuje na początku filmu strona dźwiękowa, trudno osądzić czy z winy zdjęć, czy aparatury projekcyjnej. Fakt, że z dialogów Kendy z Żabczyńskim przepada bardzo wiele. Na premierze film na ogół się podobał i wzniecał wiele wesołości.

Henryk Liński

POLA NEGRI W NOWEJ KREACJI FILMOWEJ

„Moskwa — Szanghaj" na ekranie kina Filharmonia.

Nie o to chodzi, że niemcy autentyczniej od Hollywoodu robią Rosję i jej atmosferę, dowód czego mieliśmy w jednym z najlepszych filmów ubiegłego sezonu „Ucieczka" wyświetlanym w „Romie". I nie o to, że Paul Wegener, który był niegdyś atrakcyjnym aktorem („Golem", „Sumurun", „Alraune" i t. d.) okazał się wnikliwym i inteligentnym reżyserem, równie dobrze operującym masami, jak i „psychologizującym". Że strona operatorska utrzymana na poziomie b. wysokim, a struktura scenariusza zwarta i logiczna trzyma na uwięzi uwagę widza. Nas — Warszawę interesuje głównie Pola Negri, przed rokiem w „Mazurze" przez cały świat filmowy powitana jako odrodzona w swej wielkości i nie zwalczona przez efemerydyczne gwiazdy genialna tragiczka ekranu.

Nie jest dziś Pola, tak jak za czasów amerykańskiej swej kariery, wylansowana ankietami na najpopularniejszą „film star". Parę lat przerwy, parę bladych filmów zatamowało królewską niegdyś jej sławę w oczach węszącego sensację i nowość tłumu, ale już „mazur" uczynił Polę kimś w kinematografii zupełnie odrębne zajmującym miejsce: po za standartową produkcją seryjną stoi Chaplin, zawsze wielki w rzadkach swych kreacjach. Ona, tragiczka o genialnej ekspresji, gardząca efektami tego typu jak strzygowate, wypindrzone, marlenowate manekiny tych, czy innych reżyserów. Ona, która stworzyła i narzuciła wszystkim gwiazdom tę, a nie inną technikę gry filmowej, jest i będzie do ostatniej chwili swego życia artystycznego prawdziwą Duse filmu.

Piękna w chwilach młodzieńczych, radosnych przeżyć swej bohaterki na początku filmu, przedzierzgnąć się chwilami potrafi w momentach cierpień i depresji, zbrzydnąć w oczach naszych i postarzyć, bo daje głęboką prawdę, unikając łatwizn i pomadkowatych efektów optycznych. Wzrusza i wstrząsa, a jej śpiew, pełen gorącej ekspresji, jej niski rozdrgany bólem kontralt słyszy się długo jeszcze po wyjściu z kina. Wielka, naprawdę wielka artystka!

Premiera w 1-sze Święto Wielkiej Nocy, w dzień dla teatrów i kin niezbyt szczęśliwy, zgromadziła tłumy. Wielka sala Filharmonii nie pomieściła wszystkich, którzy cisneli się do kas, by zobaczyć genialną polkę.

Leopold Brodziński



MUZYKA

PADEREWSKI GRA

(Na marginesie „Sonaty Księżycowej").

Jeżeli coś z zastrzeżeń nasuwa się słuchaczowi, którego na film „Sonata Księżycowa" pociągnęło nazwiska króla fortepianu, to jedno tylko: zamało. Polonez as-dur, Rapsodia Liszta, Menuet Mistrza i pierwsza część bethowenowskiej Sonaty, która dała tytuł filmowi.

Najmniej interesuje nas Liszt, ale i tutaj są rzeczy interpretacyjnie tak świeże, nieoczekiwane, że oklepana i zbanalizowana przez miliony muzykujących panienek z towarzystwa Rapsodia staje się czymś nowym, jakby wartościowszym, wyszlachetnionym. Menuet znają melomani z płyt. Teraz gra go Mistrz inaczej, zwłaszcza w części minorowej, któr: fortepian pod palcami Paderewskiego, zdaje się śpiewać.

Przeżyciem dla słuchacza jest Polonez as-dur. Uczestnicy turnieju szopenowskiego posłuchajcie tego Poloneza, a zrozumiecie odrazu czym jest styl szopenowski bez cienia patosu i bez histerii, bez afektacji i taniego sentymentalizmu, bez fanfaronady temp, tej jarmarcznej galopady, profanującej charakter i rytm, bez nadmiernego „rubato". Powaga i dostojeństwo, prostota i nieskazitelność są w tym polonezie.

Zbliżenia pokazują nam genialne ręce Mistrza, jego palcowanie idealne. Jakaż to cudowna lekcja dla niejednego wirtuoza wysokiej nawet klasy. Sonata bethowenowska to coś, o czym pisać nie można. Słowa profanują tylko interpretację równą twórczemu natchnieniu.

B-moll.

MIGAWKI TANECZNE

Nasz taneczny bilans handlowy z zagranicą zaczyna się wyrównywać. Sporo coprawda, przysłano nam ostatnio cennych sił zagranicznych, ale i my ze swej strony coraz więcej zaczynamy wywozić. Przecież jesteśmy dopiero w początku roku kalendarzowego, a nie było chwili, aby taniec polski nie był gdzieś na zagranicznym terenie reprezentowany. Przez styczeń i luty bawił w Niemczech zespół Parnella, od marca tańczy we Włoszech zespół Wery Petrakiewicz, a w Jugosławii — Ziuta Buczyńska, na kwiecień zaś wyruszają z Warszawy aż dwa bardzo silne zespoły. Jeden do Rumunii, drugi na Węgry.

Do Rumunii prowadzi swój zespół Janina Mieczyńska. Na tę wyprawę mamy prawo zapatrywać się bardzo optymistycznie. Przecież zespół Janiny Mieczyńskiej położył już ogromne zasługi dla propagandy tańca polskiego zagranicą. Zapisał się złotymi zgłoskami w dziejach tańca polskiego. Zdobył przecież I nagrodę na jedynym naprawdę doskonale zorganizowanym i najpoważniej obesłanym międzynarodowym konkursie tańca artystycznego we Wiedniu. Jedzie obecnie w nieco zmienionym, ale niemniej silnym,choć odmłodzonym składzie. Primabaleriną zespołu jest znakomita tancerka Pola Szenkierówna, która wykona pięć tańców solowych. Szenkierówna jest rekordzistką konkursów międzynarodowych tańca artystycznego. Brała udział już w trzech najpoważniejszych konkursach międzynarodowych: paryskim, warszawskim i wiedeńskim, a bardzo słusznie postąpiła, unikając jednego wielkiego „bluffu", jakim był poroniony przedolimpijski berliński „konkurs", zresztą, przez samych organizatorów pośpiesznie w ostatniej chwili przerobiony na „festival" dla uniknięcia definitywnej kompromitacji. Szenkierówna była jedną z niewielu tancerek, która swą niepospolitą intuicją artystyczną wyczuła kruchość podstaw tej niefortunnej imprezy i wolała się nią nie paskudzić, wcale się do niej nie zgłaszając, pomimo otrzymania zaproszenia z berlińskiego komitetu organizacyjnego. Podobnie postąpiła, zresztą, również doskonała tancerka, laureatka dwóch konkursów międzynarodowych Jadwiga Hrynicwicka, a najlepszy polski tancerz świata, chluba zespołu płk. Basila — Leon Wójcikowski, namówiony do zgłoszenia, także zawczasu wycofał się, gdy tylko, jako doświadczony i otrzaskany z wielkimi imprezami zagranicznymi, „poczuł pismo nosem". Słowem, udział Szenkierówny, jako primabaleriny zespołu Mieczyńskiej, jest niezawodną rękojmią wielkiego sukcesu artystycznego. Po za nią dwa tańce solowe wykona krakowianka, Hata Szwarcówna, pięknie zakwitający młody talent, a jeden — młodziutka łodzianka, Nata Lejzerowiczówna, której obiecujące zdolności pomyślnie się rozwijają pod pieczołowitą opieką p. Mieczyńskiej, zwracającą na tę swoją ulubioną pupilkę i dumę największą uwagę. W skład zespołu wchodzą również zahartowane już w bojach wiedeńskich: I. Ożarowska, J. Dracówna, E. Borensteinówna, wreszcie najnowsza rewelacja zespołu — Magda Radłowska, olśniewająca czarującą urodą i budząca ogólny zachwyt swemi wielkiemi postępami.

Zespół, udający się na podbój artystyczny Węgier, jest bodaj najlepszy, na jaki nas stać w obecnej chwili. Już samo nazwisko kierownika — baletmistrza światowej sławy Jana Cieplińskiego — mówi głośniej niż, wszystkie superlatywy. A zespół? Co jedna tancerka, to większa sława. Mamy tu więc: przede wszystkim Ziutę Buczyńska (odznaczoną specjalną nagrodą za najlepiej wykonany taniec ludowy na konkursie warszawskim i zdobywczynię I nagrody na największym z konkursów międzynarodowych — wiedeńskim, tryumfatorkę Sztokholmu i Belgradu), Jadwigę Hryniewicką (dyplom honorowy na konkursie warszawskim w tańcu solowym i srebrny medal na konkursie wiedeńskim, ballerinę i baletmistrzynię teatru Wielkiego, kierowniczkę własnej szkoły tańca artystycznego i wykładowczynię tańca wyzwolonego w szkole baletowej przy teatrze Wielkim), Janinę Leitzkównę (medal bronzowy i V miejsce na wiedeńskim konkursie międzynarodowym, b długoletnią ballerinę teatru Wielkiego), Halinę Szmolcównę (b. długoletnią primaballerinę teatru Wielkiego), Zygmunta Dąbrowskiego (b. długoletniego I solistę teatru Wielkiego i kierownika własnej szkoły baletowej) oraz Wacława Wierzbickiego. Zespół ten da kilka wieczorów, z których każdy zawierać będzie 20 produkcyj tanecznych. Każdorazowo 14 krajowych i 6 obcych. Przed wyjazdem zagranicę da kilka występów na Śląsku, ponieważ akurat przed 15 laty Jan Ciepliński tam rozpoczął swą karjerę baletmistrzowską, dziś już tak wspaniale błyszczącą na firmamencie tanecznym świata.

Słowem, sztuka taneczna w Polsce i polska zagranicą doszły nareszcie do należytego rozwoju.

H. L.



ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pani F...owej w Bydgoszczy. Tak, proszę pani Stanisławowi Niedzielskiemu w Paryżu udzielił ślubu Kardynał Verdier, arcybiskup Paryża. Ożenił się z milionerką p. Charpentier.

Pani Janinie Zdziebleckiej w Płocku. Grossówna jest mężatką, pochodzi z Torunia, Ordonka jest żoną hr. Tyszkiewicza, plotki o rozwodzie są tylko plotkami, Obarska bawi w Berlinie, jest rodem z Wrześni.

Panu Janowi R. Adres wytwórni „Fenix-Film", Warszawa, Zielna 15.

Pani Marii Markowskiej: Pani Helena Makowska bawi we Włoszech. Po powrocie gościnnie wystąpi w teatrze „8.15". „Wielką miłość" napisał Molnar, a „Ping pong" i świetną komedię „Czy Żeraldina jest aniołem" napisał Jaray. Czy „Gaby" będzie grana w Radio, zechce się pani spytać wprost w tej instytucji. Polskie Radio, Zielna 25. Zgadzamy się z panią, że prowincjonalni radiosłuchacze chcieliby słyszeć to co idzie w stolicy.

Pani Kopelewiczowej. Partnerem Grety Garbo w „Dzikiej Orchidei" był Nils Aster, w „Pocałunku" Conrad Nagel.

WANDA WERMIŃSKA w BUKARESZCIE

Polska mowa na scenie Opery Królewskiej w Bukareszcie zabrzmiała, dzięki występom p. Wandy Wermińskiej, która prócz „Aidy" kreowała tam „Carmen", śpiewając tę swoją ulubioną partię w języku polskim.

Pan dyr. Mazaraki nie interesuje się losami i karierą najświetniejszych śpiewaczek polskich. Bandrowska i Ada Sari należą już do sław międzynarodowych, snobizm dyrektora znajduje więc satysfakcję w chlubieniu się ich gościną. Wermińska jako Carmen, Aida, Elza, Tosca i t. d. jest dziś niezastąpiona, bo przecież pan dyr. M. słyszy chyba różnicę między dzisiejszym stanem wokalnym p. Platówny, czy możliwościami p. Hupertowej („Carmen"), a pełnią dojrzałości wokalnej, w jakiej znajduje się p. Wermińska, sopran dramatyczny.

„FIRMA" HEMARA W BUDAPESZCIE

W Budapeszcie wystawiono w tłumaczeniu znanego autora Lukatasa „Firmę" Hemara. Przyjęcie komedii przez publiczność było bardzo życzliwe, natomiast prasa ustosunkowała się do „Firmy" dość krytycznie.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

„Wielka miłość" powieść Wincentego Rapackiego. Nakład F. Hoesicka.

Kto szuka zawiłych problemów psychologicznych, zagadnień filozoficznych, dramatycznych powikłań — niech nie czyta „Wielkiej miłości". Nie jest to „Niezdrowa miłość" — Nałkowskiej, raczej jej przeciwieństwo kategoryczne. Nowa powieść Rapackiego — to jeszcze jeden szczery, bezpośredni, bezpretensjonalny uśmiech „czarującego emeryta". To jeszcze jedna interesująca, a dająca się jednym tchem czytać — wersja radości życia autora, jego wiary w słońce, które zawsze musi wreszcie wyjrzeć z za chmur szarej rzeczywistości.

„Wielka miłość" napewno wkrótce doczeka się drugiego wydania, czego należy życzyć autorowi i wydawcy.

PRZEGLĄD PRASY

Red. Jacek Fruhling w N-rze 79 „Kuriera Polskiego" z dn. 20 marca, pisze: **Premiera na Kredytowej „Wielki Bałagan" w „Cyruliku".**

W naszych kabaretach, teatrzykach i filmach, pokutuje od dłuższego czasu nieznośna maniera taniego, płaskiego, niesmacznego dowcipkowania na temat tak zwanej prowincji. Od czasu do czasu mogłoby to być zabawne, ale karmić tem ciągle publiczność, odgrzewać przedpotopowe kawały, nie, szanowni panowie autorzy! Pozatem spojrzenie na tę prowincję jest z gruntu fałszywe, zalatuje średniowieczem, nie wiele ma wspólnego z prawdziwym życiem naszych miast i miasteczek.

To jeszcze nie wszystko. Kpiny z prowincji, z różnych Mazurkiewiczów, są przeważnie pozbawione dowcipu, który zastępuje brutalność i ordynarność.

Uwagi te odnoszą się, niestety, do ostatniej premiery „Cyrulika". Raz jeszcze pokazano nam prowincjonalny kabaret, raz jeszcze musieliśmy oglądać nieprawdopodobną szmirę. Bezimienni autorzy, ukrywający się wstydliwie pod pseudonimami Prorok i Cyrulik, wpletli w tę swoją nieprawdopodobną bujdę, historyjkę o extancerce-hrabinie, która dla ratowania zrujnowanej fortuny, postanawia wrócić na scenę. (dobry, aktualny temat, zupełnie niewyzyskany). Przy tej okazji świat ludzi, mieszkających na wsi, przedstawiony został jako zbiorowisko degeneratów i kretynów. Można nie być entuzjastą tego świata, można widzieć jego przywary i śmiesznostki, ale każda satyra, nawet najostrzejsza, musi mieć dowcip i odrobinę choćby dobrego smaku. Niestety, w „Wielkim Bałaganie" (ten tytuł w zupełności odpowiada treści), niema ani jednego, ani drugiego. Rezultat: uczucie niesmaku.

Może na Woli, na Chłodnej, „Bałagan" znalazłby żywsze echo, cieplepsze przyjęcie. Chociaż i tam widywało się przedstawienia znacznie, znacznie lepsze.

REDAKTOR przyjmuje interesantów codz. 17 — 19. Administracja czynna codziennie 10—14 i 16—18
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Jerozolimskie 43 (parter) tel. 810 81.
CENY OGŁOSZEŃ: Cała strona zł. 400. 1/2 strony—zł 240. 1/4 strony zł. 140. 1/8 strony — zł. 80. ogłosz. dwukolor. 50% drożej
1 milim. szerokości jednej szpalty (układ 5-cio szpaltowy) w tekście 40 gr.. za tekstem 30 gr. Ogłoszenia drobne 15 gr. za wyraz. Prenumerata: rocznie zł. 7.20, 1/2 rocznie 3.60, kwart. 1.80
Prenumeratę przyjmują wszystkie oddziały P.K.O. Konto czekowe Nr. 11.840 i oddziały pocztowe Konto rozrachunkowe, Warszawa I. Nr. 226.
Wydawcy: JÓZEF KISELHOF i I. ROTSZTADT-MIASTECKI. Druk. Wydawnicza, Warszawa, Kacza 15, tel. 603-46. Redaktor WŁODZIMIERZ ŁOHAZA